

**GUY DE  
MAUPASSANT**

HORLA

# Guy de Maupassant

## Horla

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843810](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843810)*

*Horla:*

### **Аннотация**

Klasyczne opowiadanie grozy – pamiętnik młodego człowieka, który skrupulatnie notuje kolejne niewytłumaczalne zjawiska towarzyszące mu w codziennych czynnościach. Maupassant pisał to opowiadanie trzykrotnie, za każdym razem zmieniając sposób prowadzenia narracji. Pierwsza wersja miała formę listu, druga – relacji lekarza-psychiatry, finalna – pamiętnika. Tytułowa Horla to niewidzialny demon prześladujący bohatera utworu. Mistrzowskie budowanie napięcia i nieoczekiwane zakończenie powodują, że jest to jeden ze skarbów tego popularnego w XIX wieku gatunku literackiego. Ponoć był bezpośrednią inspiracją H.P. Lovecrafta do napisania legendarnej książki Zew Cthulhu.

# Guy de Maupassant

## Horla

**8 maja** – Co za cudowny dzień!... Spędziłem całe rano wyciągnięty na trawie, przed domem, pod ogromnym platanem, który go przykrywa i ocienia w całości. Kocham ten kraj i lubię w nim przebywać, ponieważ tu tkwią moje korzenie, te głęboko wpite i delikatne korzonki, co łączą człowieka z ziemią, na której urodzili się i pomarli jego przodkowie, co go wiążą z miejscowym sposobem myślenia, mówienia i odżywiania się, z obyczajami i gwarą ludową, z zapachem ziemi, domów a nawet powietrza.

Kocham mój dom, w którym wzrosłem. Z mych okien widzę Sekwanę, płynącą wzdłuż mego ogrodu, zaraz za drogą, prawie że u mnie, Sekwanę głęboką i szeroką, zdążającą z Rouen do Hawru, przepelnioną statkami.

Tam, na lewo, widać Rouen, duże miasto o sinych dachach, u stóp tłumu kolczatych wieżyc gotyckich. Jest ich bez liku, smukłe i rozsadziste, wysoko ponad wszystkimi żelazna iglica wieży katedralnej, w nich dzwony, grające w błękitach pięknych ranków, ciskające aż do mnie swoje żelazne dźwięki, złagodzone oddalą, i swe spizowe śpiewy, które mi wiatr przynosi to mocniejsze, to słabsze, w miarę tego czy powiew jego wzmaga się lub cichnie.

Jakiż to był rozkoszny poranek!

Około godziny jedenastej długi sznur okrętów, z małym jak mucha statkiem holowniczym na czele, który charczał z wysiłku i wyrzucał kłęby gęstego dymu, przesunął się przed memi sztachetami.

Po dwu angielskich dwumasztowcach z wzdymającymi się na tle nieba szkarłatnymi pawilonami, przepłynął wspaniały trzymasztowiec brazylijski, cały w bieli, przedziwnie czysty i lśniący. Skłoniłem mu się, nie wiem czemu, tak mi się spodobał od pierwszego wejrzenia.

**12 maja** – Od kilku dni mam małą gorączkę; jestem cierpiący a raczej przygnębiony.

Gdzie może być źródło tych tajemniczych wpływów, co przepelniające nas uczucie szczęścia ni stąd ni zowąd obracają w zniechęcenie a ufność naszą zmieniają z nagłą w rozpacz. Rzekłbyś, że powietrze, niewidzialne powietrze, roi się od niezbadanych mocy, których tajemnej bliskości podlegamy. Budzę się rozradowany, śpiewać mi się chce. – Dlaczego? – Puszczam się na przechadzkę brzegiem rzeki, naraz posepnieję i zabieram się z powrotem, jakby mnie w domu oczekiwało nieszczęście. – Dlaczego?... – Czyżby dreszcz zimna, musnąwszy mi skórę, szarpnął mnie za nerwy i zasepił mi duszę?... A może to kształt chmur lub kolor światła, zabarwienie przedmiotów, pełne takiej różnorodności, przemykając przed memi oczyma, myśl we mnie zachmurzyły?... Jestże to komukolwiek wiadomem?... Wszystko, co tylko nas otacza, wszystko, co dokoła widzimy, nie patrząc, o co się

ocieramy, nie wiedząc o tem, wszystko, czego dotykamy, nie wyczuwając, i czego nie umiemy nawet rozróżnić, napotkawszy, wywiera może na nas, na nasze organa, a przez nie na myśli, na serce nawet nasze, wpływ szybki, zadziwiający i niewytłómaczalny.

Jakże głęboką jest tajemnica Niewidzialnego!... Nie jesteśmy w stanie jej zbadać za pomocą nędznych zmysłów naszych: naszemi oczyma, co nie umieją dostrzedz ani rzeczy zbyt wielkich ani zbyt małych, ani na zbyt krótką ani na nadto daleką metę ani mieszkańców gwiazd, ani mieszkańców kropli wody...; naszemi uszama, które nas mamiają, ponieważ przerabiają dla nas wibracje powietrza na nuty brzmiące...; powonieniem naszym, słabszem od wężu psa...; smakiem naszym, zaledwie zdolnym rozróżnić wiek win!

Ach! gdybyśmy posiadali inne organa, zdolne dokazywać cudów na nasz pożytek, ileż to rzeczy moglibyśmy podówczas odkryć dokoła nas!

**16 maja** – Stanowczo, jestem chory! A tak doskonale się miałem ubiegłego miesiąca! Mam silną gorączkę a raczej uległem jakiemuś gorączkowemu zdenerwowaniu, w którym ciało i dusza moja w równym cierpią stopniu. Nie opuszcza mnie ani na chwilę straszne uczucie grożącego mi niebezpieczeństwa, jakby strach przed nadchodzącem nieszczęściem, czy zbliżającą się śmiercią; przecucia te mają niewątpliwie swe źródło w chorobie, która się jeszcze nie objawiła, ale kiełkuje już w ciele i krwi.

**18 maja** – Byłem radzić się lekarza, bo nie mogę spać. Znalazł u mnie przyspieszone tętno, rozszerzenie źrenic, przedrażnienie nerwowe, żadnych jednak objawów niepokojących. Mam brać natryski i zażywać bromek potasu.

**25 maja** – Żadnej zmiany! Stan mój jest dziwny doprawdy. W miarę zbliżania się wieczoru ogarnia mnie niepojęty niepokój, jak gdyby noc kryła dla mnie jakąś straszliwą groźbę. Spożywszy obiad szybko, próbuję czytać; nie rozumiem jednak wyrazów, ledwie rozróżniam litery. Zaczynam tedy chodzić po salonie wszerz i wzdłuż, z nieokreśloną a nieprzepartą obawą snu, obawą łóżka.

Około godziny dziesiątej idę na górę, do mej sypialni. Skoro tylko wejdem, zamykam drzwi natychmiast na dwa spusty i zasuwam rygle... Lękam się... czego?... Nie bałem się niczego po dziś dzień!... Otwieram szafy, zaglądam pod łóżko, wyteżam słuch... za czym?... Nie dziwneż to, aby drobna niedyspozycja, jakaś nieprawidłowość w cyrkulacji krwi może, rozdrażnienie jednego nerwowego włókna, mała kongestia, niewielkie zaburzenie w tych tak niedoskonałych i tak delikatnych funkcjach naszej maszyny życiowej – mogło zrobić melancholikiem najweselszego z ludzi, tchórzem – nieustraszonego?... Następnie kładę się do łóżka i czekam snu, jakbym czekał kata. Oczekuję nań, bojąc się równocześnie jego przybycia; serce mi przytem bije, nogi drżą a całe ciało nie przestaje ani na chwilę trząść się w ciepłe pościeli, dopokąd nie zapadnę naraz w sen, jak się zapada w wodę ktoś, co się

pragnie utopić. Nie czuję dzisiaj – jak niegdyś – zbliżania się snu-zdrajcy, co zaczaiwszy się tuż koło mnie, czatuje na chwilę, kiedy będzie najdogodniej schwycić mnie za głowę, zamknąć mi oczy, unicestwić...

Śpię – długo – dwie do trzech godzin, a potem zaczynam śnić – nie – zmora mnie dusić zaczyna. Czuję doskonale, że leżę i że jestem uśpiony... czuję to, wiem o tem... Lecz czuję także, że ktoś się do mnie zbliża, przypatruje mi się, dotyka mnie a potem wchodzi do mego łóżka, kłęka na moich piersiach, chwytą mnie oburącz za gardło i ściska... ściska... ze wszystkich sił, chcąc mnie udusić...

Bronię się, skrępowany tą straszną niemocą, jaka nas w snach obezwładnia; chciałbym krzyczeć – nie mogę; chcę się ruszyć – nie jestem w stanie; próbuję z największym wysiłkiem, dysząc, odwrócić się, zrzucić z siebie tę istotę, która mnie przygniata i dławi – nie potrafię!

Naraz budzę się, półobłąkany, cały w potach. Zapalam świecę – sam jestem.

Po tej kryzys, ponawiającej się, noc w noc, usypiam po raz wtóry i śpię, spokojnie już, do samego świtu.

**2 czerwca** – Stan mój pogorszył się jeszcze. Co mi u licha jest? Brom nie pomaga wcale, natryski pozostają bez skutku. Właśnie – chcąc zmęczyć ciało – takie znużone zresztą, byłem się przejść po lesie Roumare. Miałem nadzieję, że świeże powietrze, lekkie i miłe, pełne zapachu ziół i liści, odświeży mi w żyłach krew, wykrzesze z mego serca nową energię. Poszedłem zrazu

wielką aleją myśliwską, poczem skręciłem ku La Bouille wąską drożyną pomiędzy dwoma wojskami niezmiernie wysokich drzew, które między mną a niebem tworzyły zielony, ciemny, prawie czarny dach.

Wtem dreszcz mnie przeszedł, nie dreszcz zimna jednakże, tylko szczególny dreszcz lęku.

Przyspieszyłem kroku, zaniepokojony mą samotnością w tym lesie, wylękły bez żadnej określonej racji, w zgoła nedorzeczny sposób, dlatego tylko, że byłem tam – sam. Naraz wydało mi się, że za mną ktoś idzie, że mi następuje na pięty, dotyka mnie, że jest tuż, tuż...

Odwróciłem się zniecacka, nie było nikogo. Ujrzałem poza sobą tylko aleję, długą, wysoko sklepioną i przerażająco pustą a w przeciwnym kierunku ciągnęła się jak wzrokiem sięgnął, druga, zupełnie podobna, straszna.

Zamknąłem oczy. Dlaczego?... Począłem się obracać na pięcie, prędko, coraz to prędeej, jak fryga, żem o mało nie upadł. Drzewa tańczyły teraz dokoła mnie, ziemia falowała, musiałem usiąść. Lecz – ach! – nie wiedziałem obecnie, z której strony przyszedłem. Co za myśl dzika!... Ani rusz zgadnąć! Skierowawszy się wreszcie na prawo, dotarłem do alei, która mnie zawiodła w sam środek lasu.

**3 czerwca** – Straszliwa noc! Muszę wyjechać na kilka tygodni. Może mnie mała podróż uleczy.

**2 lipca** – Wracam. Jestem uzdrowiony. Zrobiłem prześliczną wycieczkę!... Byłem na górze św. Michała, której nie znałem

dotąd.

Co za wspaniały widok, kiedy się jak ja, przybędzie do Avranches na schyłku dnia!... Avranches wznosi się na wzgórzu. Zaprowadzono mnie do publicznego ogrodu na samym końcu miasta. Krzyknąłem z podziwu. Niezmierzona okiem zatoka rozwarła się przedemną pomiędzy dwoma szeroko rozsuniętymi wybrzeżami, których krańce ginęły w mgle oddalenia; w pośrodku zaś tej zatoki, olbrzymiej, jasnej, pod niebem złocistym, promiennym, wznosiła się z tła piachów ciemna, kończata góra dziwnego kształtu. Słońce co tylko zaszło a na pałającym jeszcze tle widnokregu tem wyraziściej się rysował fantastyczny profil tej góry, na której szczycie wznosi się fantastyczny monument.

Poszedłem tam z brzaskiem najbliższego dnia. Stan morza był niski, jak wczoraj wieczór, w miarę zaś jak dochodziłem szczytu, gmachy zadziwiającego opactwa wynurzały się coraz bliżej przed mym wzrokiem. Po kilku godzinach drogi dotarłem nareszcie na wierzch olbrzymiej skały, dźwigającej na sobie maleńkie miasteczko, ponad którym górują wysokie mury świątyni. Po przebyciu uliczki stromej i ciasnej wszedłem do najcudniejszego z domów bożych w stylu gotyckim, jakie kiedykolwiek wzniesiono na ziemi, rozległego jak miasto, pełnego niskich wnętrz, przywalonych sklepieniami i wyniosłych galeryi o smukłe kolumny wspartych. Wstąpiłem w wnętrze tego olbrzymiego cacka z granitu, lekkiego jak koronka, nałożonego lasem wieżyczek i lekkich dzwonnicy, na które się

wchodzi po kręconych schodach i które wznoszą ku jasnemu niebu dnia, ku ciemnym niebiosom nocy, dziwaczne swoje głowy, nastroszone postaciami chimer i biesów, fantastycznymi zwierzętami i kwiatami potwornych kształtów, powiązane z sobą misternie rzeźbionymi łukami.

Znalazłszy się na szczycie, zagadnąłem mnicha, który mi towarzyszył:

– Musi wam tutaj dobrze być, ojczy?

Odparł:

– Wiatr tutaj dmie straszliwy.

Poczęliśmy rozmawiać, przypatrując się przyływowi, który biegnąc coraz dalej po piaskach, zakuwał je w pancierz ze stali.

Zakonnik począł mi opowiadać historye, wszystkie dawne historye, związane z miejscem; legendy, same legendy.

Jedna z nich uderzyła mnie szczególnie. Miejscowa ludność, ta z góry, utrzymuje, że nocami dolatują z piasków głosy ludzkie, a następnie że słycać beczenie kóz, jednej grubym, drugiej cieńszym głosem. Według zdania niedowiarków są to po prostu krzyki morskiego ptactwa, podobne już to do beku kóz, już to do ludzkich jęków. Ale zapóźnieni rybacy przysięgają się, że krążąc po nadbrzeżnych piaskach, pomiędzy przyływem i odpływem, dokoła tej małej miejsciny, leżącej hen, za światami, spotykali niekiedy starego pastucha, którego głowy, nakrytej płaszczem, nie było widać, prowadzącego za sobą kozła z twarzą mężczyzny i kozę z kobiecym licem, oboje pokrytych długą, białą szerszcią i gadających bez przerwy w nieznanym języku, jakby się z sobą

kłócili, poczem naraz dziwadła, zaniechawszy krzyku, poczynają beczeć z całych sił.

Zapytałem mnicha:

– Wierzy ojciec w to?

Szepnął:

– Czy ja wiem.

Ja zaś:

– Toż gdyby istniały na ziemi stworzenia tak odmienne od nas, musielibyśmy je znać od dawna?... Jakim sposobem staćby się mogło, abyście wy ojcie nie widzieli żadnego ni razu?... abym ja ich nigdy nie widział?...

Odparł:

– A czyliż my widzimy jedną stutysięczną część tego, co jest?... Patrz pan, oto na przykład wiatr, jedna z największych sił w przyrodzie: obala on ludzi, burzy gmachy, wyrывa z korzeniami drzewa, wzbija morze w olbrzymie góry wodne, kruszy skały, ciska ogromnemi statkami, jak piłką, o podwodne rafy, – a widziałeś go pan kiedy? ten wiatr, co jęczy, świszczce, zabija?... lub czy go pan jesteś w stanie obaczyć?... A przecież on istnieje.

Zamilkłem wobec tak prostego rozumowania. Ten człowiek mógł być zresztą równie dobrze mędrce jak i głuptasem; niepodobna mi było o tem rozstrzygnąć na pewno, – ale umilkłem. To, co powiedział, i mnie przychodziło często na myśl.

**3 lipca** – Żle spałem. W tutejszym klimacie muszą się znajdować jakieś zarodki febry, ponieważ mój woźnica choruje

w zupełnie taki sam sposób jak ja. Wróciwszy wczoraj, zauważyłem zaraz, że pobladł bardzo, więc go zapytałem:

– A co ci to, Janie?

– Nie mogę sypiać, proszę pana: Noc zjada mi dzień. Od wyjazdu pana nie opuszcza mnie to ani na chwilę.

Reszta domowników ma się dobrze pomimo tego, – obawiam się jednak bardzo u siebie recydywy.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.